NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 50 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XII [illegible] Wielkiego L. 66 [illegible]

[illegible]

[illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. Kraków, 25 maja 1918. Nr. 21

Z francuskich pobojowisk.



Ulica w Armentieres, zniszczona ogniem angielskiej ciężkiej artyleryi.

Treść numeru: Wśród zgliszcz i ruin — Polskie przedstawicielstwo w Rosyi. — Kobieta polska na obczyźnie. — Rodzina carska w niewoli niemieckiej. — Republika ukraińska po przewrocie — Niefortunni sojusznicy koalicyi itd.

Z francuskich pobojowisk.

Potworną jest siła niszczycielska obecnej wojny. Nie tylko zbiera krwawe żniwo tysiącami istnień ludzkich, ale niszczy doszczętnie wiekowy ich dorobek, zmiata z powierzchni ziemi wsie i miasta, w niwecz obraca owoce pracy pokoleń.

Widownią tej niszczycielskiej siły stała się znów ziemia francuska. Huragan największej w dziejach bitwy obraca w gruzy to, co dotychczas oszczędziła wojna. W miejsce kwitnących miast przybywają we Francyi nowe pobojowiska, ziejące śmiercią i zniszczeniem. Giną ludzie, giną starożytne grody ze skarbami architektury i sztuki, z zaklętem w ich prastarych murach życiem minionej przeszłości.



Z francuskich pobojowisk: Monumentalny kościół katedralny w Bailleul zniszczony angielskimi granatami. (Fot. Bufa)



Przedstawicielstwo polskie w Rosyi: Aleksander Lednicki, pełnomocnik Rady Regencyjnej na Rosyę

Taką śmierć miasta Reims opisuje jeden z korespondentów następującemi słowy:

„Z Reims, starożytnego, koronacyjnego grodu, zostały, z wyjątkiem zewnętrznej części, jeno gruzy. Rumowisko spiętrzone, góry cegieł, kamieni, sterczą — niby ogromne pomniki na zastygłych grobach. Gdzieniegdzie zaledwie wznoszą się szkielety kamienic, raczej strasznie okaleczone mury. — Wszystko, co się widzi, jest płaszczyzną cmentarną. Ma się ochotę płakać. Przed wojną liczyło Reims 120 000 mieszkańców, po ewakuacyi zostało zaledwie 3.500, wkońcu i ci uszli z domowych zagród. Niemcy otoczyli miasto półkolem w odległości 1.800 metrów. Padały na nie gradem wszelkiego rodzaju pociski. W przeciągu tygodnia wyrzucono 75 000 granatów, z tych w jednym dniu 30.000. W ostatnich siedmiu dniach, przed największym atakiem, zawaliło się lub spaliło 680 domów, reszta, 150, jak zżęte pokłosie, legła w rumowisku. Pożary wybuchały to tu, to tam, niby ogniste race. Sześć samolotów niemieckich krążyło po szlakach powietrznych i czuwało, aby dzieło zniszczenia było zupełnem. Z samego środka, z omszałego wiekami grodu, nic nie zostało. Znikł prześliczny Place Royal i niepodobna rozeznać biegnących z jego serca ulic. Teatr, liceum, katedra, dwa kościoły, stare hotele, hale targowe, słynne konserwatoryum z szesnastego stulecia, wszystko przepadło bezpowrotnie. Łuna pożarna zalewała przestworze na odległość 150 kilometrów. Sterczą również zgliszcza z gmachów bankowych. Pogrzebane są pod ich rozpadłym ciężarem pieniądze, złoto, papiery. Nad całym jednak obrazem śmierci wznoszą się resztki wspaniałej katedry, niby bolejące szczątki wielkiej przeszłości. Codzień odrywają świeże kule z nich całe części, które ma



Wśród zgliszcz i ruin: Szczątki kościoła klasztornego na Monte Santo pod Gorycyą, po ustąpieniu Włochów (Woj. kwat. pras.)

leją i kurczą się. Strzępy obrazów, odłamy słupów, posągów tarzają się po spadzistościach rumowiska. Na przecudownej fasadzie wszystkie figury zniszczone z wyjątkiem znajdujących się na dole, które ocalały, dzięki gęstemu pokryciu workami z piasku. Lada chwila zostaną ostatnie ślady: trochę sterczących słupów i pokiereszowana fasada. Tyle tylko z wielkiego, świetnego dzieła sztuki".

Tak umierało Reims, tak samo giną w piekle obecnej walki inne miasta francuskie. Z tych nowych pobojowisk francuskich zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg fotografii.

Przedstawicielstwo polskie w Rosyi.

Pomiędzy rządem polskim a tak liczną Polonią rosyjską został wreszcie nawiązany oficyalny stosunek. Rada regencyjna mianowała p. Aleksandra Lednickiego, byłego prezesa ustanowionej przez rosyjski rząd rewolucyjny Komisyi likwidacyjnej dla spraw polskich, swoim przedstawicielem. W ten sposób nie tylko został ustanowiony ścisły kontakt pomiędzy Królestwem Polskiem a wychodźcami polskimi, ale rząd Królestwa Polskiego otrzymał oficyalne przedstawicielstwo w Rosyi. Że spoczęło ono w najwłaściwszych i najgodniejszych rękach, świadczy o tem dostatecznie cała dotychczasowa działalność p. Lednickiego, który w tych ciężkich dla narodu czasach wszystkie swe siły poświęcił, aby ulżyć ciężkiej doli rodaków, rozrzuconych po Rosyi.

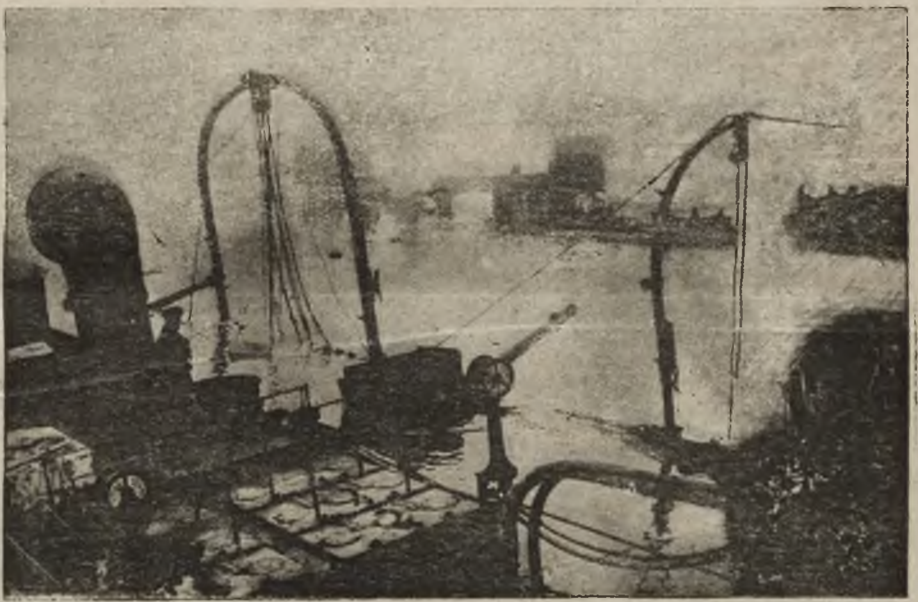
Zgodnie z pismem Rady regencyjnej do zadań przedstawicielstwa należą następujące sprawy: 1) opieka nad wychodźcami w Rosyi; 2) organizowanie planowego powrotu wygnańców do kraju; 3)



Trzeci Maja w szkołach: Poranek ku uczczeniu Konstytucyi majowej w Miejskiej szkole przemysłowej żeńskiej w Krakowie

Rosyi) zniosła stanowisko prezesa Komisyi likwidacyjnej, co w następstwie spowodowało ustąpienie całego polskiego składu jej członków. Powołała natomiast „Przedstawicielstwo polskie" w Rosyi, które zaczęło funkcyonować już w parę dni po otrzymaniu pełnomocnictw przez p. Lednickiego. W chwili obecnej przedstawicielstwo to tworzą: 1) wydział rozrachunkowy, na którego czele stoi były kontroler jeneralny Rosyi, p. Jan Żarnowski i ego pomocnik, były dyrektor departamentu kolejowego ministeryum finansów, p. Kazimierz Tyszyński; 2) wydział ekonomiczno finansowy, na którego czele stoją pp. dr. Leon Wasserberger i Hipolit Gawic; 3) wydział reemigracyjny, pp. Barchwic i inżynier Tomczyński; 4) wydział prawny, radca mecenas Rymowicz; 5) sekretaryat polityczny, pp. Roman Knol i Juliusz Łukasiewicz.





Śmiały atak angielski na wybrzeże flandryjskie:
Niemiecki punkt obserwacyjny na wybrzeżu morskiem. — Angielskie krążowniki, zatopione pod Zeebrügge. (Fot. Bofa)

kontynuowanie prac Komisyi likwidacyjnej dla przygotowania przyszłego rozrachunku państwowego pomiędzy Polską a Rosyą.

Zaznaczyć tu należy, że dnia 10. grudnia zeszłego roku Rada komisarzy ludowych (obecny rząd

Obecne władze rosyjskie nie czynią specyalnych trudności pracom „Przedstawicielstwa".

Z ramienia tego „Przedstawicielstwa" bawiła w tych dniach w Warszawie delegacya z p. Lednickim na czele. Celem jej przyjazdu była konieczność porozumienia się osobistego z władzą najwyższą i rządem w tych wszystkich sprawach, które pełnomocnictwem Rady regencyjnej zostały powierzone p. Lednickiemu.

Zaznaczyć jeszcze należy, że p. Lednicki został już akredytowany przez rząd rosyjski w charakterze pełnomocnika Rady Regencyjnej państwa polskiego.

Wśród zgliszcz i ruin.

Ofiarą wojny, szalejącej od lat czterech zwłaszcza w Europie, padł cały szereg monumentalnych budowli, stanowiących niegdyś ozdobę danych miejscowości i będących chlubą narodów, które je stworzyły.

Taki los spotkał słynny kościół i klasztor na Monte Santo pod Gorycyą, będący dla tamtejszych Włochów tem, czem dla nas jest Częstochowa.

Z kościoła i klasztoru pozostała tylko kupa gruzów, a tragedyę zwiększa okoliczność, iż padły one od niszczącego ognia włoskiej artyleryi.



Wśród zgliszcz i ruin: Gruzy kościoła klasztornego na Monte Santo, zniszczonego ogniem włoskiej artyleryi (Woj. kwat. pras.)

Niefortunni sojusznicy koalicyi.

Koalicya, szukając sojuszników potrafiła wprzągnąć do swego rydwanu także i Bogu ducha winną

Portugalię, o której można śmiało powiedzieć, że dostała się tutaj tak niepotrzebnie, jak Piłat do „Credo“.

Na domiar nieszczęścia, zaraz na początku ostatniej ofenzywy na zachodnim froncie, prawie cała dywizya portugalska, jedna jedyna, jaką koalicyi na pomoc wysłano, wraz ze swym dowódzcą dostała się do niewoli niemieckiej. Wobec groźnego jej niebezpieczeństwa miano ją zluzować, niestety, spóźniono się nieco.

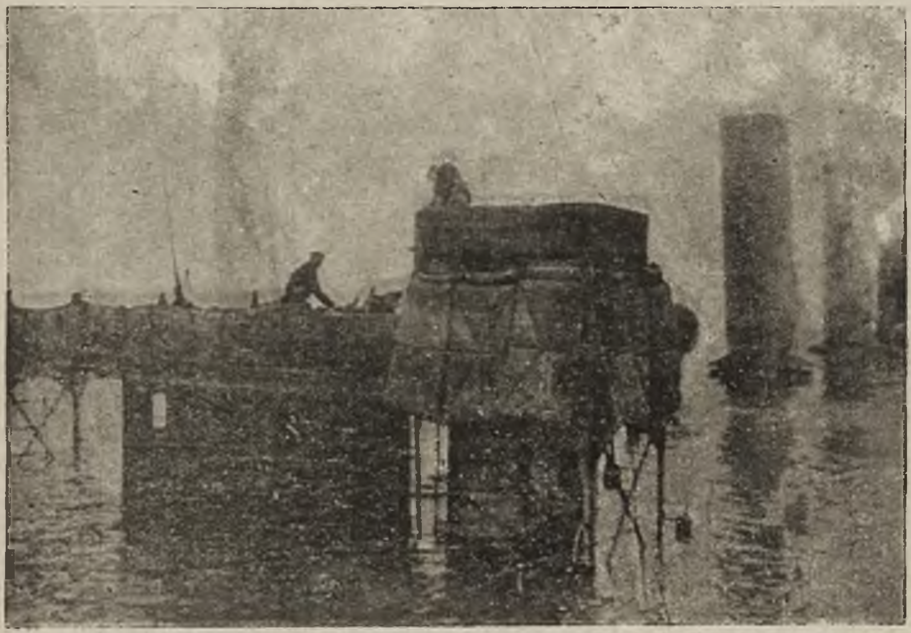
Smiały atak angielski na wybrzeże flandryjskie.

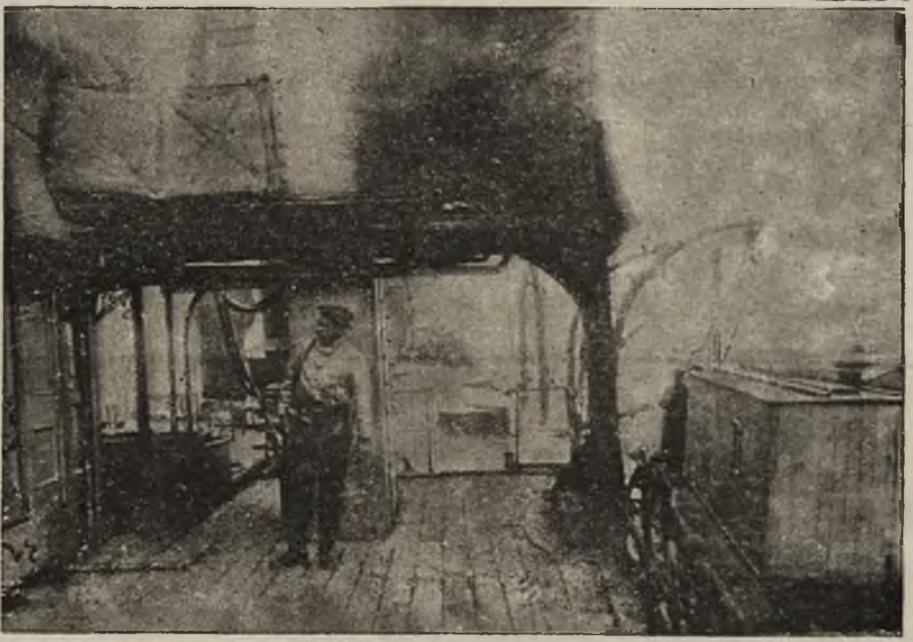
Flota angielska dokonała niedawno śmiałego ataku na wybrzeże flandryjskie. O przedsięwzięciu tem admiralicya angielska doniosła w następującym komunikacie:

„Nasze siły zbrojne morskie wykonały atak na Ostendę i Zeebruegge, któremi posługuje się nieprzyjaciel, jako punktami oparcia dla łodzi podwodnych i kontrtorpedowców. Nasze siły zbrojne wróciły. Według niedokładnych jeszcze relacyi, atak miał względnie dobry skutek. Z wyjątkiem okrętów, kryjących ekspedycyę, eskadra składała się z okrętów wojennych pomocniczych i sześciu starszych krążowników. Z ostatnich pięć było wypełnionych betonem i tych użyto dla uskutecznienia blokady, mianowicie, według rozkazu, osadzono je na mieliźnie i po opuszczeniu ich przez załogi, wysadzono w powietrze“.

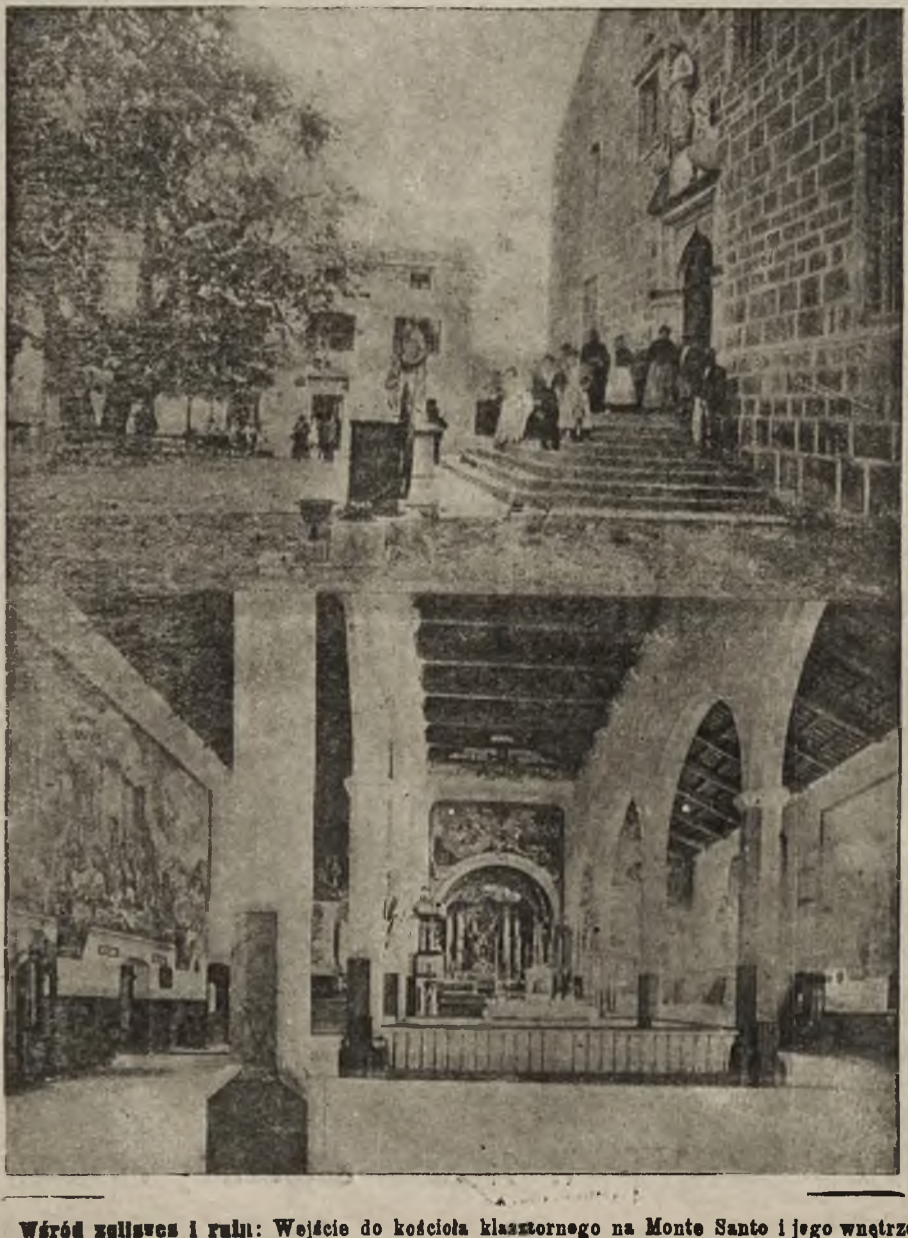
Urzędowy komunikat niemiecki przedstawia natomiast atak ten w następujący sposób:

„W nocy z dnia 22 na 23 kwietnia udaremniono w wielkim stylu i przy bezwzględnem użyciu sił planowe przedsięwzięcie angielskiej floty przeciw naszym punktom oparcia na wybrzerzu flandryjskiem. Po gwałtownem ostrzeliwania od strony morza pod osłoną sztucznie wytworzonej mgły, przypłynęły małe krążowniki w towarzystwie licznych kontrtorpedowców i łodzi motorowych tuż przed wybrzeże koło Ostendy i Zeebruegge, z zamiarem zniszczenia tamtejszych śluz i urządzeń portowych. Według zeznań jeńców, miał równocześnie oddział, złożony z czterech kompanii żołnierzy marynarki, niespodziewanym atakiem zająć tamy portowe w Zeebruegge i zniszczyć wszystkie znajdujące się na nich budowle, działa, urządzenia wojenne oraz statki, znajdujące się w porcie. Tylko około czterdziestu ludzi z tego oddziału dostało się na tamę. Zginęli oni częścią, częścią dostali się w nasze ręce żywi. Na wąskim, stromym murze tamy walczono z obu stron z największą gwałtownością. Z angielskich sił zbrojnych morskich, które brały udział w ataku, zatopiono małe krążowniki „Iphigenie“, „Imprepid“, „Sirius“ i dwa jeszcze małe krążowniki tego samego typu, których nazwa nie jest znana. Zostały one zatopione tuż przy samem wybrzeżu. Dalej zatopiono naszym ogniem działowym trzy angielskie kontrtorpedowce i większą liczbę motorowych łodzi torpedowych. Mogliśmy uratować tylko poszczególnych ludzi z załogi tych okrętów. Poza uszkodzeniem tamy, spowodowanem przez ugodzenie torpedą, nasze urządzenia portowe i baterye nadbrzeżne nie odniosły wcale szwanku. Z naszych sił zbrojnych morskich tylko jeden torpedowiec odniósł uszkodzenia lżejszej natury. Nasze straty w ludziach są małe“.





Smiały atak angielski na wybrzeże flandryjskie:
(Fot. Bofa) Angielski krążownik, zatopiony około Zeebrügge. Mostek komendanta na jednym z zatopionych pod Zeebrügge angielskich krążowników.



Wśród zgliszcz i ruin: Wejście do kościoła klasztornego na Monte Santo i jego wnętrze przed zniszczeniem.
(Woj. kwat. pras.)



Trzeci Maja w szkołach: Uroczystość poświęcenia sztandaru gimnazyum powiatowego w Brzesku

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J. MIGOWA)

5

— Nie mamy bowiem pełni ani sił naszych, ani zdolności jeżeli nie jesteśmy razem. Skoro nas rozdzielają, słabniemy, zmienia się dźwięk naszego głosu... pamięć staje się mniej pewną. Myśli tracą na jasności, a zmysły na wrażliwości...

Te słowa potęgowały rozpacz Augustyna de Rougeterre. Napróżno usiłował wyzwolić się z pod przemocy niezachwianej pewności, jaka z nich tchnęła. Nie chciał dać się przekonać, nie mógł uwierzyć. Minuta mijała za minutą. Nikt się nie odzywał.

— A zatem dobrze! - rzekł wreszcie hrabia — Wystawię was na próbę. Niechże jeden z was uda się za mną

Jeden z młodych żołnierzy podniósł się. Hrabia Augustyn poprowadził go przez długą galeryę do swego gabinetu.

Tam odsunął jedną szufladę w biurku i wyjął z niej niewielki album. Otworzył go na drugiej stronicy i wskazując rysunek piórkiem, przedstawiający młodą kobietę, zapytał:

— Kto to jest?

— To moja cioteczna babka, Paulina de Rougeterre.

— Kto wykonał ten rysunek?

Ty sam, wuju.

Rysunek nie był podpisany.

Twarz Augustyna de Rougeterre drgnęła łagodnem wzruszeniem. Pochylił się nagle ku młodemu człowiekowi i uścisnął go serdecznie. Tamten oddał mu uścisk z widoczną tkliwością, ale zarazem jakoś dziwnie sztywnie.

— Spojrz jeszcze! — rzekł starzec.

Pokazał młodzieńcowi kilkanaście starych dagerotypów i kilka nowszych fotografii. Piotr de Givreuse poznał wszystkie

W końcu z lekkiem drżeniem stary hrabia otworzył miniaturowe pudełeczko z szyldkretu. Zabłysnął pierścień starodawnego kształtu, zdobny wielkimi szmaragdami najpiękniejszej wody.

— To jest klejnot rodzinny! — oświadczył poważnie Piotr — Był własnością prababki mojej, markizy Katarzyny de Givreuse, która zginęła na szafocie w styczniu 1794 roku.

— Niema wątpliwości! — zawołał radośnie hrabia de Rougeterre — To ty jesteś moim siostrzeńcem Piotrem!

— Poczekaj wuju — odparł młodzieniec z widocznem znużeniem — jeszcze nie pytałeś o nic mojego towarzysza.

Hrabia Augustyn pochylił głowę. Był nieco spokojniejszy. Cała przygoda wydawała mu się wprawdzie ciągle jeszcze niezwykłą, traciła jednak charakter czegoś nadprzyrodzonego.

Starzec rzekł jednak:

— Zobaczymy. Czy zechcesz poczekać na mnie w wielkim salonie?

— Dobrze, wuju.

Hrabia powrócił do drugiego młodzieńca. Następnie pokazał i jemu rysunek piórkiem, przedstawiający młodą kobietę.

Tak jak tamten, poznał żołnierz Paulinę de Rougeterre i pamiętał o tem, kto rysunek wykonał.

Myśl hrabiego jęła błądzić znowu w jakimś nieprzejrzanym mroku.

W miarę, jak młodzieniec rozpoznawał nagromadzone portrety, w duszy starca potęgowało się przeświadczenie, że dzieje się jakiś niepojęty cud.

— Czyż postradałem rozum? O! Boże mój... Tylko obłąkaniem możnaby to wytłomaczyć... Czyż jestem waryatem?!

Uważnie przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Później dotknął ręką własnej głowy, jakby chcąc przekonać się, czy nie śni.

— Nie!... Gdybym zwaryował, nie miałbym tych wątpliwości... A zatem wszechświat chyba jest nieskończenie innym, niż ja go sobie wyobrażałem.

Człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boskie. A jeżeli Bóg jest Najwyższem Poznaniem, to także jest Najwyższą Tajemnicą. A On nie objawia nam poznania Swego, ani tajemnic swoich, inaczej, jak tylko przez wolę swoją świętą i niepowstrzymany bieg rzeczy, którym Sam kieruje... Bądź Wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi...

Obrócił się ku młodzieńcowi i przycisnął go do piersi.

— I ty także jesteś Piotrem de Givreuse! — wyszeptał.

Spostrzegł, że młody żołnierz jest blady i jakiś ociężały:

— Co ci to, moje dziecko?

— To nic... Tylko czuję się tak bardzo znużonym, jeżeli jestem bez niego.

— Chodźmy więc do niego!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— Cóż teraz zrobimy? — zapytał hrabia de Rougeterre, kiedy wszyscy trzej znaleźli się znowu razem — Z pewnością nie widzieliście się jeszcze z waszą matką?

— Jakżebyśmy śmieli?... Musieliśmy się poradzić ciebie wuju. Gdybyśmy tak nagle bez przygotowania pojawili się przed nią wrażenie mogłoby być zbyt silne, zanadto wstrząsające. Każdy z osobna także nie mogliśmy się zdecydować, aby mamy nie przerazić widocznem osłabieniem. Chodzi o to, aby niepotrzeba było się rozdzielać i by nasze podobieństwo wydawało się niezwykłym przypadkiem. Oto co umyśliliśmy. Jeden z nas przestanie być Piotrem de Givreuse. Podobieństwo, choćby nawet tak uderzające, zwłaszcza za uprzedniem przygotowaniem, wywoła co najwyżej zdumienie, ale nie grozę przerażenia. Matka zrozumie, że pomiędzy nami mogła, a nawet musiała zrodzić się przyjaźń gorąca... podobna do przywiązania, jakie istnieje zwykle pomiędzy bliźniakami.

Hrabia Augustyn zastanawiał się dłuższy czas. Trudno mu było jakoś uporządkować myśli. Oczywistość interwencyi jakiejś potęgi nadludzkiej stawała się dla niego jasną.

Ale umysł jego wahał się ciągle pomiędzy nadzieją i rozpaczą. To zdało mu się, że jest igraszką mocy ciemności — to dusza kołysała się w zachwycie Łaski z tamtego świata.

Błędnie spoglądając, odpowiedział:

— Zrobię co zechcecie. Zresztą pomysł wasz wydaje mi się rozsądnym. Musimy się tylko porozumieć co do niektórych szczegółów... Ale...

Hrabia to bladł, to czerwieniał się. Głos jego przechodził w stłumiony szept.

— Czy nie zachowaliście w pamięci wspomnienia... o czemś nadzwyczajnem, co się stało... Wspomnienia podobnego do sennego widziadła.

— Nie pamiętam nic. Pomiędzy chwilą, kiedy ja padłem ranny, a chwilą kiedy my obudziliśmy się, istnieje jakaś próżnia, niewypełniona najlżejszym nawet błyskiem pamięci.

— Zupełnie?

— Zupełnie.

— Bóg nie chce, abyśmy wiedzieli! — rzekł hrabia, składając gestem modlitewnym dłonie — Niechaj się dzieje święta Jego wola...

ROZDZIAŁ VI.

Kiedy pani Givreuse posłyszała opowiadanie hrabiego Augustyna, zdumiała się. Poczem zapytała:

— I rzeczywiście podobieństwo wydaje ci się tak absolutnem?

— Być może, że są jakie drobne, niezmiernie drobne różnice. Byłem nazbyt wzruszony, aby je spostrzedz. W każdym razie nie można sobie wyobrazić, aby istniał ktoś bardziej podobny do Piotra

— Ja się napewno nie omylę — wyrzekła w zadumie pani Givreuse. — Matki posiadają szósty zmysł, Augustynie.

Uśmiechnęła się. Duszę jej zalewał ogrom macierzyńskiej miłości.

Nagle krzyknęła wzburzona:

— Gdzie on jest?! Dlaczego niema go dotychczas przy mnie?! Jakże mógł pozwolić, żebym czekała?...

— Z troskliwości o ciebie... obawiał się...

Przerwała z trwogą:

— Ty ukrywasz może coś przedemną! Jego rany...

— Nie, nie są niebezpieczne. Ale Piotr wygląda jeszcze mizernie i blado. Bez wątpienia mógł ci donieść o swoim powrocie, ale wiesz, jak teraz funkcyonują poczty i telegrafy.

Pani Givreuse uspokoiła się. Wielka słodycz malowała się na jej jasnej twarzy, której wiek nie zdołał odebrać świeżości. Kilka zaledwie dostrzegalnych zmarszczek, podobnych do cieniutkich nitek, widniało koło ust i skroni. Miała takie same szmaragdowe oczy, jak Piotr i ogromne włosy, uczesane à la Montespan. Jedwabiste złoto tych włosów przeświecało gdzieniegdzie srebrnemi pasemkami.

— Ach! Żeby przybył jak najprędzej! — szepnęła.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Pani Givreuse stała, kiedy do pokoju weszli obaj młodzieńcy. Rzuciła się na ich spotkanie, ale nagle zatrzymała się, zdjęta bezgranicznem zdumieniem.

Trwała tak chwilę zmieszana i zarazem uszczęśliwiona, starając się rozpoznać syna od obcego człowieka. Bystry wzrok jej dostrzegał nadzwyczaj subtelne różnice. Twarz jednego zdawała się być nieco szerszą. Cera nie była zupełnie identyczna.

Matka nie umiałaby powiedzieć, który z nich bardziej podobny jest do Piotra.

— Synu!... — krzyknęła w nadziei, że to wezwanie wywoła wzruszenie, które będzie odpowiedzią.

Dwa oblicza młodzieńcze wyrażały te same uczucia. Wreszcie jeden głos, drżący i niepewny odparł:

— Mamo!

Już pochwyciła w objęcia tego, który odpowiedział.

Ale w wejrzeniu tamtego dostrzegła tyle tkliwości, że to wstrząsnęło nią.

— Witaj mi chłopcze — rzekła, podając mu rękę. — Powiedziano mi że przyjaźń wasza jest niezwykle serdeczną.

Westchnęła i mimowoli dorzuciła:

— Rozumiem to doskonale!

Całowała jeszcze tego pierwszego. Potem, porwana jakąś siłą przemożną, położyła obie ręce na ramionach drugiego.

Cofnęła się zaraz. Wstrząsnęła nią burza sprzecznych uczuć. Niemiły przymus mieszał się z radością, a nadzieja zaprawna była głuchą, nieokreśloną troską.

Dały się słyszeć lekkie kroki. W obramowaniu drzwi ukazała się postać młodej kobiety. Szła rytmicznym krokiem rybaczek-wyspiarek.

Wysoka była. Miała twarz dziewczyny z północy, delikatną płeć, oczy zmienne jak fala, włosy czarne z przebłyskiem miedzi, nad czołem przycięte w grzywkę.

Kiedy zobaczyła młodych ludzi, krzyknęła. Krzyk ten zabrzmiał niby skarga.

Stanęła nieruchoma, spoglądając rozszerzonemi źrenicami. Oni patrzeli na nią, obaj bardzo bladzi.

— Masz może bystrzejszy wzrok odemnie, Walentyno — rzekła pani Givreuse. — Wyobraź sobie, że ja nie mogłam rozpoznać Piotra.

Młoda dziewczyna badała ich wzrokiem. Skupiła całą uwagę, przywołując na pomoc, tak żywą i świeża w jej wieku, pamięć kształtów i barw.

Po długiej chwili rzuciła wreszcie zniechęcona:

— Doprawdy, nie wiem!

Część druga.

I.

Mijały dnie. Zwolna wszechpotężne przyzwyczajenie wprowadzało w normalny bieg życia najdziwniejszą przygodę, jaka się kiedykolwiek przydarzyła w dziejach ludzkości.

Pani Givreuse nawykała do podwójnej osobowości swego syna i tego fantastycznego nieznajomego, który przyjął nazwisko Filipa Frémeuse.

W przeciągu dwóch tygodni młodzieńcy nie wychodzili wcale z domu. Pozwolili sobie tylko kilka razy wieczorem na ukradkowy spacer, poprzez najbardziej puste ulice miasta.

Nie rozstawali się ani na chwilę. Nietylko dlatego, by uniknąć osłabienia fizycznego, ale i dlatego także, iż w czasie rozłąki ogarniało ich coś nakształt przerażenia, jakieś poczucie straszliwej samotności.

Powoli jednak i nieznacznie dokonywały się w nich pewne przemiany. Skóra stawała się mniej przezroczystą, cera zdrowszą. Włosy gęstniały.

Zwiększył się również ciężar ich ciała. Ważyli już teraz nie trzydzieści siedm, jak w Gavres, ale czterdzieści cztery kilo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z francuskich pobojowisk: Opustoszałe i zniszczone miasto francuskie Bailleul w ogniu granatów angielskich. Fot. Bufa.

Republika ukraińska po „przewrocie".

„Republika ukraińska" przeżyła już więc „rewolucyę". Nie była ona jednak zbyt krwawą i minęła wśród ludności bez głębszego wrażenia. Niema w tem zresztą nic dziwnego, bo proklamowanie dyktatury generała Skoropadskiego było tylko drugim aktem tej samej farsy, którą pod nazwą „republiki ukraińskiej" zainscenizowano w Brześciu Litewskim. Pierwszy akt tej farsy skończył się, jak wiadomo, rozpędzeniem przez porucznika niemieckiego „rewolucyjnego rządu ukraińskiego" z p. Hołubowiczem na czele. W drugim akcie zastępuje jego miejsce „dyktator Ukrainy", a jaki zaś będzie koniec tej farsy nie podobna dziś jeszcze z całą dokładnością przewidzieć. Nie należy jednak brać zbyt tragicznie tych „przewrotów". Jest to tylko zmiana aktorów na ukraińskiej scenie, prowadzonych ręką tego samego reżysera.

Bo jakąż władzę posiadał faktycznie dawny rząd ukraiński? Była to garstka agitatorów, nie mająca nawet żadnego wpływu w najszerszych masach ludności, czego najlepszym dowodem fakt, że ów „rząd ukraiński" musiał uciekać z własnego państwa i dopiero wkroczenie wojsk niemieckich do Kijowa umożliwiło mu objęcie „władzy". Dziś tę „władzę" oddali Niemcy w ręce gen. Skoropadskiego i na tem właściwie polega cały „przewrót" czy „zamach stanu", jak chcą niektórzy, na Ukrainie.

Nie ulegało odrazu żadnej wątpliwości, jak się ukształtują faktyczne stosunki na Ukrainie, wydanej na łup bolszewickiej anarchii, po wkroczeniu tam wojsk sprzymierzonych. Na tem rozhukanem morzu ciemnoty i barbarzyństwa, przy zupełnem zdezorganizowaniu miejscowego społeczeństwa, wojska okupacyjne stały się faktycznymi gospodarzami kraju, a taki, czy inny „rząd ukraiński", który bez obcej pomocy nie potrafiłby jednego dnia udawać... że rządzi, jest tylko farsą taką samą, jak i cała „republika ukraińska".

Naturalnie dla galicyjskich ukraińców, którzy od pokoju brzeskiego poczuli w sobie krew republikańską i roili już złote sny bolszewicko imperyalistyczne, drobny epizod kijowski stał się poważnym ciosem. Lwowskie „Diło" występuje też w gwałtownym artykule przeciw „grafowi Skoropadskiemu". „Do wybuchu rewolucyi — pisze — był on sługą carskim. Bił pokłony przed carem Ukrainy, teraz zaś w swoim hetmańskim manifeście oddaje pierwszy pokłon państwu, które przeciw Radzie Centralnej i rządowi jej ułatwiło mu drogę do hetmaństwa. W ten sposób podnosi na Ukrainie głowę reakcya polityczna i społeczna, a kto wie, czy nie kryje się za tem także reakcya rosyjsko-nacyonalna. Bo mamy prawo i obowiązek powątpiewać, czy miłość do Ukrainy tego hetmana i tych, co go obwołali hetmanem, jest tak szczera, jak głośne są słowa, powątpiewać dopóty, dopóki słowa nie zmienią się w czyn. Jasnem jest teraz że przewrót państwowy w Kijowie odbył się pod protektoratem niemieckiej władzy wojskowej, która użyła w najgrubszej formie przemocy nad Radą Centralną, członkami rządu i wojskiem. Jeżeli zważymy, że



Republika ukraińska po „przewrocie": Oficerowie austro węgierscy aprowizują się u przekupniów w Żmerynce (Woj. kwat. pras.)

nie całe trzy miesiące temu ta sama ukraińska władza państwowa, złożona z tych samych ludzi, podpisała w Brześciu traktat pokojowy, zaprosiła wojsko niemieckie do swojego państwa, to będziemy mieli jeden z najjaskrawszych przykładów, co znaczą umowy międzynarodowe".

Z takiem oburzeniem przyjmuje „Diło" nowy akt farsy kijowskiej, w którym główną rolę objął dla odmiany „dyktator Ukrainy". A tymczasem rzeczywistość idzie swoją drogą. Bolszewickie eksperymenty, które pogrążyły całą Ukrainę w odmęcie mordów i rabunków, nietylko utorowały wojskom okupacyjnym drogę aż do morza Czarnego i nad Don, ale, co ważniejsze, uczyniły z tych wojsk jedyną ostoję „ładu i porządku" na rozhukanem morzu ukraińskiem.

Jest to rzeczywistość, nie zależna zupełnie od tego, kto w farsie ukraińsko-republikańskiej odgrywa w danej chwili główną rolę: czy gołowąsy „trybun ludu" Hołubowicz, czy „dyktator" Skoropadski.



Z francuskich pobojowisk: Zniszczony pociskami armatnimi kościół w Dieppe Fot. Bufa)

Kobieta polska na obczyźnie.

Ostatni polscy uchodźcy wojenni, rozsiani po zachodnich prowincyach monarchii, wracają do kraju a z ich powrotem gasną te liczne ogniska humanitarne i oświatowe, które nieciła na obczyźnie ofiarność i poświęcenie szlachetnych jednostek, aby oświecały i ogrzewały pozbawionych ojczyzny tułaczy. Jednem z ostatnich zrzeszeń wychodźczych, które

przed kilkoma dniami zostało rozwiązane wskutek powrotu do kraju, było „Koło Pań“ w Opawie, zorganizowane w styczniu 1917 r przez pp. Michalinę Głażewską i Halinę Gerstmanównę dla niesienia moralnej i materyalnej pomocy żołnierzom Polakom, przebywającym w opawskich szpitalach, przez odwiedzanie i obdarzanie chorych, dostarczanie im polskich książek i gazet, wreszcie ułatwianie im utrzymania kontaktu z pozostałemi w kraju lub za linią bojową rodzinami. Dalszem zadaniem „Koła Pań“ była opieka nad polską dziatwą. Złożone przez przewodniczącą, profesorową Alfredową Ujejską, sprawozdanie z półtorarocznej działalności Koła jest pięknym przyczynkiem do ofiarnej pracy kobiety polskiej w czasie wielkiej wojny.

Według tego sprawozdania, Koło urządzało lub dawało inicyatywę do urządzania nabożeństw i obchodów narodowych dla Polonii miejscowej (Nabożeństwa styczniowe, listopadowe, obchód Konstytucyi Trzeciego Maja i poranek Kościuszkowski dla młodzieży.) Nie zapominając o ogólniejszych potrzebach narodowych, oddawało „Koło Pań“ znaczne stosunkowo kwoty innym instytucyom i tak 25% dochodów miesięcznie odsyłano na cele opieki nad Legionistami, a nadto sporadycznie wspierano inne cele narodowe („Dar narodowy Trzeciego Maja“, Tydzień K. B. K., Przytulisko weteranów, Szkoła polska w Polskiej Ostrawie, Fundusz Kolonii wakacyjnych, Komitet opieki nad internowanymi Legionistami w Huszt i t d.) Fundusze czerpało Koło prócz wkładek członków początkowo z darów i składek urządzanych w Opawie, w ostatnim roku głównie z urządzania zebrań towarzyskich i koncertów


Niefortunni sojusznicy koalicyi! Portugalczycy wzięci do niewoli w ostatnich walkach na Zachodzie (Fot. Bufa)


Tank angielski zniszczony w walce pod Albert


Eskadra tanków angielskich zdobyta nad Sommą (Fot. Bufa)

Szlakiem ofenzywy na Zachodzie

połączonych z bufetem, który zaopatrywały hojnie swemi darami panie nasze.

Działalność „Koła Pań“ dzieli się na dwa okresy. W pierwszym tworzyło ono trzy sekcye, pod kierownictwem p. Michaliny Głażewskiej. Do zarządu należały panie: Gerstmanówna (skarbniczka), Komorrówna (sekretarka), Horowa, Hudetzówna, Kluszewska, Migocka, Rappaportówna, Ujejska i Warzeszkiewiczowa. W tym czasie odbyło się 5 posiedzeń Zarządu i 17 sekcyjnych, 322 odwiedzin w szpitalach, rozdano 17.000 papierosów, urządzono 1 zebranie towarzyskie na dochód Koła. Członków było 94, suma dochodów wynosiła 2.052 K 29 h. Okres ten skończył się z powodu wyjazdu wielu pań, wśród nich przewodniczącej „Koła“, 30 czerwca 1917. Przez czas letni kontynuowało pracę kilka pozostałych w Opawie pań, z p. Rappaportową na czele.

W jesieni 1917 r. zorganizowano się na nowo pod przewodnictwem p. Alfredowej Ujejskiej. Zarząd, w którym skupiała się cała działalność „Koła“, po rozwiązaniu dawnych sekcyi, składały panie: Gerstmanówna (skarbniczka), Szubertowa (sekretarka), Dobińska, Hackerowa, Kluszewska, Migocka, Nowobilska, Rappaportowa i Warzeszkiewiczowa. W tym okresie odbyto 16 posiedzeń Zarządu, 380 odwiedzin w szpitalach, rozdano 50.000 papierosów rannym żołnierzom, urządzono 5 zebrań i koncertów na dochód Koła. Suma dochodów wynosiła 2691 K 75 h.

Miarą zapobiegliwej pracy tej pięknej instytucyi może być to, że nie korzystając z subwencyi i zapomóg, potrafiła przez urządzanie składek i zebrań towarzyskich wśród polonii opawskiej zebrać na swe cele blisko pięć tysięcy koron, z których nadto 25% przeznaczano stale na ogólne cele narodowe w kraju.

Żal pomyśleć, że po zwinięciu podobnych instytucyi wychodźczych ustanie pomoc niesiona tak licznym, rozrzuconym po szpitalach całej monarchii, żołnierzom Polakom. Kto się nimi teraz zajmie?


Niefortunni sojusznicy koalicyi: Charakterystyczne typy wziętych do niewoli żołnierzy portugalskich (Fot. Bufa)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

26

Na te słowa bankier bezsilnie opadł z powrotem na krzesło. Wyznanie to uspokoiło co kolwiek ciekawość zebranych gości. Teraz, kiedy tajemnica wyjaśnioną została, nikt nie chciał dłużej pozostać w mieszkaniu mordercy i wszyscy szepcąc i oglądając się z nieufnością, pomału ruszyli do wyjścia.

Wkrótce głośny turkot powozów oznajmił, że goście rozjeżdżają się już do domów, opuszczając pod przykrem wrażeniem gościnne salony barona de Compans i zabawę, która w pierwszych chwilach zapowiadała się tak świetnie.

Nawet Fernanda skorzystała z ogólnego zamieszania, aby zniknąć tak, że ani Lopez ani Frank nie zauważyli jej nagłego odejścia.

Kiedy salon opustoszał już zupełnie, pan de Cerevurt, prokurator, podszedł do pana de Compans.

— Panie! — wyrzekł grzecznie — pozwoli pan, że nie przesądzając udziału, jaki pan wziął w zbrodni, którą tu mi odkryto, będę zmuszony wypełnić moje urzędowe obowiązki. Będzie się pan bronił wobec sędziów i wykaże swoją niewinność, jeżeli to możebne, ale tymczasem, zważywszy ważność faktów, jestem zmuszony aresztować pana.

Pan de Compas przyjął te słowa bez oporu. Po zbladłej i zmienionej do niepoznania twarzy toczyły się łzy bezsilnej wściekłości i żalu za córką.

Cała dawna energia i siła opuściły go bezpowrotnie. Niktby nie poznał w nim dawnego świetnego i pewnego siebie człowieka, któremu zazdrościł Paryż cały. Cała potęga jego i aureola zgasła w jednej chwili.

Jednakże, kiedy na zaproszenie prokuratora powstał, aby oddalić się z nim razem, zwrócił się raz jeszcze do Lopeza i obrzucił go błagającem spojrzeniem.

— Panie — wyrzekł cichym, zgaszonym głosem — nie dla siebie prosiłbym sędziów moich o litość i względność. Jeżeli mnie skarzą i wymierzą stosowne zadośćuczynienie za moją winę, przyjmę ich wyrok bez szemrania, ale mam dziecko, córkę jedyną i ukochaną, która jest niewinną i którą czeka wstyd i nędza najokropniejsza.

Lopez powstrzymał dalsze jego słowa szybkim ruchem ręki.

— Pomyślałem już o tem — odparł żywo — i pomimo grozy, jaką wywołała zbrodnia pana i całej nienawiści, jaką czuję i pragnienia sprawiedliwej zemsty, może pan być przekonany, że nędza nie dosięgnie panny Sylwii de Compans. Wstydu, jaki pan na nią rzucił, nie zmażę, bo nie jest to w mojej możności, ale upoważniony przez mojego bratanka, pana doktora Franka, oznajmiam panu, że z majątku jego ojca, który pan będzie mu zmuszony zwrócić, on część jedną przyzna córce pana i w ten sposób panna Sylwia przyszłość materyalną zapewnioną mieć będzie.

Usłyszawszy to zapewnienie, którego nie spodziewał się wcale, pan de Compans wzruszonym wzrokiem objął swojego wroga. W pierwszym porywie wdzięczności chciał nawet uścisnąć rękę Lopeza, ale ten bez słowa odwrócił się szybko. Bankier westchnął ciężko i zwrócił się natychmiast do oczekującego prokuratora.

— Jestem gotów towarzyszyć panu — rzekł zmienionym głosem i chwiejnym krokiem opuścił salon.

Kiedy znaleźli się przy drzwiach wejściowych, prokurator kazał służącemu przywołać powóz, do którego pierwszy wsiadł pan de Compans, sam zaś zwrócił się do Lopeza i Franka:

— Panowie! — rzekł uprzejmym głosem. — Jutro rano oczekiwać was będę w swojem biurze.

— Stawimy się nieodwołalnie — odparł Lopez.

Powóz ruszył, uwożąc nieszczęśliwego bankiera i Paskala, który trwał jeszcze dalej w stanie dziwnego odrętwienia i nie wiedział, co się z nim dzieje.

Lopez pozostał sam z Frankiem.

Teraz dopiero spostrzegł zniknięcie Fernandy i zmartwił się szczerze.

— Biedna dziewczyna — rzekł wzruszonym głosem. — Nie potrzebujemy już dalszych jej usług, więc usunęła się dyskretnie, chcąc uciec przed objawami naszej wdzięczności.

— Ale my ją odnajdziemy, nieprawdaż? — zawołał Frank porywczo. — Musimy ją odnaleźć.

— Mam nadzieję.

— Jak ja mogłem podejrzewać ją choć na chwilę! — oburzał się Frank. — Nigdy sobie tego nie daruję, doprawdy! Posądzać ją, taką szlachetną i dobrą!

— A teraz? — zapytał Lopez, patrząc na niego uważnie.

— Teraz zdaje mi się, że będę najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie, jeżeli jej nie odnajdę. Jej obecność jest mi potrzebną do życia!

— Zobaczysz ją jeszcze, Franku, przyrzekam ci to — wyrzekł z uśmiechem zadowolenia Lopez. — A teraz rozejdźmy się, mój kochany, pamiętaj, że mamy rano stawić sie w biurze pana de Cerevurt.

— Nie zapomnę — odparł Frank, ściskając gorąco dłoń Lopeza. Przed wyjściem jednak ostatniem spojrzeniem objął willę. Wszędzie już światła pogaszone zostały i dom wraz z parkiem tonął w głębokich ciemnościach. Niktby się domyśleć nie mógł, że przed godziną jeszcze wrzała tu zabawa w całej pełni i przepychu, zakończona w tak nieoczekiwany i tragiczny sposób.

- - - - - - - - - - - - - -

Przy końcu lipca roku 19... powóz zaprzągnięty w dwa silne konie, pędzące wyciągniętego kłusa, zatrzymał się przed głównym hotelem w Juyon, miasteczku znajdującem się w północnej stronie Bretanii.

Mogła być godzina dziesiąta wieczorem.

Służba zajazdu wybiegła i otoczyła natychmiast powóz, wyprzęgając konie i zakładając świeże, które niecierpliwie biły kopytami o ziemię, oczekując znaku ruszenia.

W powozie siedziało dwóch mężczyzn.

Jeden z nich mógł mieć lat około pięćdziesięciu, drugi około trzydziestu.

Jak tylko powóz zatrzymał się przed hotelem, jeden z mężczyzn wyskoczył szybko i wszedł do pokoju restauracyjnego, mieszczącego się na dole. Towarzysz jego nie opuścił dawnego miejsca, leżąc wygodnie na poduszkach w stanie półuspienia. Starszy podróżny, wszedłszy do sali, kazał sobie podać szklankę madery i sucharki i zapaliwszy papierosa, kazał przywołać do siebie pocztyliona, który miał ich zawieźć do następnego przeprzęgu.

W kilka minut później zawezwany pocztylion stawił się na rozkaz podróżnego i szczególna rozmowa zawiązała się natychmiast pomiędzy nimi.

— Jak ci na imię? — zapytał bez wstępu podróżny, patrząc w otwartą, dobroduszną twarz wezwanego.

— Iwon, do usług pana.

— Jesteś dobrze obeznany ze swoim fachem?

— Pewnie! Od lat przeszło dwudziestu jestem pocztylionem w tych stronach.

— Chciałem ci się właściwie zapytać, czy jesteś zręczny, mój przyjacielu.

— Och! Zdaje się. Nie obawiam się nikogo ani niczego — brzmiała śmiała odpowiedź.

— Tego mi właśnie potrzeba.

Pocztylion wzruszył ramionami.

— Ej, nie potrzebuje się pan obawiać. Droga równa i pewna aż do następnego przeprzęgu. Dziecko mogłoby spokojnie kierować końmi.

— Naprawdę?

— Jest tak, jak mówię.

— To źle! To bardzo źle — szepnął, namyślając się podróżny.

— Jakto?

— Chciałem cię prosić o oddanie mi przysługi, mój przyjacielu.

— Niech pan mówi.

— Ale po twoich słowach, widzisz, zaczynam się namyślać.

— Dlaczego?

— Bo ta droga, którą pojedziemy, jak sam powiadasz, równa jest i dobra.

Pocztylion uśmiechnął się głupkowato, nie rozumiejąc wcale.

— Niech pan jednak mówi, zobaczymy co to takiego? — rzekł zaciekawiony.

Podróżny położył rękę na jego ramieniu i spojrzał mu prosto w oczy.

— Czy chcesz zarobić dzisiaj sto franków, mój przyjacielu? — zapytał nagle.

Pocztylion odskoczył, jak gdyby go kto ugodził w najczulsze miejsce.

— Sto franków? — powtórzył zdumiony. — Sto franków? Dla mnie?

— Czy to nie dosyć?

— Dosyć, ale zależy jeszcze, co mam za te pieniądze zrobić.

— Ho, ho! Więc się namyślasz?

— Pewnie. Przysługa przysłudze nie równa, pan to rozumie — odparł spokojnie.

— Przysługa, którą żądam od ciebie, nie jest wcale trudną do wykonania.

— O cóż chodzi?

Podróżny zamyślił się.

— Posłuchaj mnie — odezwał się po chwili — utrzymujesz, że droga jest równa i dobra?

— Zapewnie.

— Wydaje ci się więc niemożliwem, aby na tej drodze powóz przewrócić się mógł?

— Ale proszę pana...

— Odpowiadaj.

— A no cóż. Wszystko jest możliwe, jak kto chce — odparł filozoficznie pocztylion.

— Nieprawdaż?

— O wypadek nie trudno.

— Szczególniej w nocy — podpowiedział podróżny, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Ma pan słuszność.

— A więc mnie rozumiesz?

— Doskonale.

Pocztylion przymrużył jedno oko, patrząc porozumiewająco na podróżnego.

— Masz tu zadatek — rzekł ten ostatni, wsuwając mu w rękę złotą monetę. — Resztę dostaniesz po załatwieniu naszej sprawy, oczywiście, jeżeli ją zręcznie przeprowadzisz.

— Ale tamten? Ten drugi? — zapytał pocztylion, chowając szybko pieniądze.

— Jaki drugi?

— Towarzysz pana.

— Czy chciałbyś go poradzić?

— Ja nie. Ale jakże on przyjmie tę rzecz całą?

— To już do mnie należy — odparł stanowczo podróżny — Zresztą skoro jesteś zręczny, jak to sam utrzymujesz, mam nadzieję, że nas tak wywrócisz, że nie stanie się nam nic złego.

— Odpowiadam za podróżnych. Ale co do koni, to co innego. Nie wiadomo, jak tam wypaść może.

— Głupstwo! Nie ma się nad czem zastanawiać. Jeżeli który złamie nogę lub się skaleczy, obowiązuję się zastąpić go innym.

— W takim razie nie mam już więcej nic do powiedzenia — rzekł pocztylion, patrząc z podziwem i szacunkiem na podróżnego.

— Poczekaj, pozostaje nam jeszcze jeden punkt do omówienia.

— Co takiego?

— Miejsce, gdzie powóz przewrócony zostanie.

— To prawda.

— Czy znasz tu w okolicy mały wiejski domek, zamieszkany przez osobę, którą tu podobno nazywają wszyscy „wdową".

— Czy ją znam? — oburzył się pocztylion. — Ależ to opatrzność całej okolicy.

— Naprawdę?

— Ten domek znajduje się o dwie mile stąd.

— Przy drodze?

— Tuż przy drodze.

— A więc doskonale! Teraz wiesz już wszystko. Dałem ci wszystkie wyjaśnienia potrzebne. Od ciebie zależy zarobić sto franków obiecanych.

Iwon nie kazał sobie tego dwa razy powtórzyć. Po wypiciu szklanki madery, na koszt podróżnego, pospieszył do swoich koni.

Podróżny zaś wskrótce wyszedł z zajazdu i poszedł do towarzysza, który zaczął się już niepokoić jego przedłużającą się nieobecnością.

— Cóż się tam dzieje, Lopez? — zapytał, kiedy ten zajął miejsce przy nim w powozie. — Nigdy jeszcze, zdaje mi się, nie zatrzymywaliśmy się tak długo przy przeprzęganiu koni.

— Myślałem, że spisz, Franku — odparł Lopez spokojnie.

— Tak, spałem, kiedyśmy tu dojeżdżali — rzekł młody człowiek — ale już obudziłem się od dłuższej chwili i nie mogłem się na ciebie doczekać.

— A więc zapalmy teraz cygara, żeby się do reszty orzeźwić, księżyc już wstaje, będziemy mieć przyjemną podróż, bo okolica, jak mówią, jest tu bardzo malownicza.

Pocztylion siedział już na koźle, gotowy do drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Carska rodzina w niewoli niemieckiej.

Jak donosi telegram c. k. Biura korespondencyjne, carowa wdowa rosyjska, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, Piotr Mikołajewicz i Aleksander Michajłowicz dostali się w ręce niemieckie w dobrach na Diurbar na południe od Jałty na Krymie. Byli oni tam strzeżeni przez 25 marynarzy i zupełnie odcięci od świata.

Zaznaczyć tu należy, że książę Mikołaj Mikołajewicz, który dostawszy się do niewoli niemieckiej, uwolnił się w ten sposób z rąk rewolucyonistów, jest byłym naczelnym wodzem armii rosyjskiej i jednym z najwybitniejszych członków rodziny carskiej. Na niego wskazywano też niejednokrotnie



Rodzina carska w niewoli niemieckiej: Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz były generalissimus rosyjski, uwolniony przez wojska niemieckie z rąk rewolucyonistów

jako na domniemanego dyktatora Rosyi, a niedawno jeszcze obiegła prasę pogłoska, że szerzy się w Rosyi ruch, mający na celu powołanie na tron księcia Mikołaja Mikołajewicza, jako człowieka „silnej ręki“, który potrafi uspokoić fale bolszewickiej anarchii. Ile było prawdy w tych pogłoskach, trudno przesądzać, nie ulega jednak wątpliwości, że książę Mikołaj Mikołajewicz ujawniał zapędy dyktatorskie tak, że zazdrosny o swą władzę car usunął go ze stanowiska naczelnego wodza. Czy dziś, po wydostaniu się z niewoli rewolucyonistów, nie zechce odegrać znowu roli „zbawcy“ Rosyi, najbliższa przyszłość okaże.



Kobieta polska na obczyźnie: Panie opiekunki i zarząd „Koła Pań“ w Opawie z przewodniczącą p. Alfredową Uiejską X. (Do art. na str. 6)

Trzeci Maja w szkołach.

(Do illustracyi na str. 3 i 4).

Gimnazyum powiatowe w Brzesku urządziło w bieżącym roku uroczysty obchód ku czci Konstytucyi Trzeciego Maja, łącząc z nim uroczystość poświęcenia sztandaru gimnazyalnego. — Młodzież gimnazyalna męska i żeńska zebrała się na uroczyste nabożeństwo w kościele parafialnym, gdzie ks. kanonik Mazur odprawił sumę, a kazanie patryotyczne wygłosił ks. dr. Czuj. Potem udano się wraz z publicznością w pochodzie na boisko szkolne, gdzie po poświęceniu sztandaru i przemówieniach katechety ks. dra Czuja i dyrektora gimnazyum Missony nastąpiła ceremonia wbijania gwoździ. Jedni z pierwszych uczynili to baronostwo Götzowie, protektorowie zakładu, który pierwszy w Galicyi zerwał ze starym szablonem nauczania, a zajmuje się w pierwszej linii wychowaniem młodzieży i w trzech ostatnich latach doszedł do bardzo pięknych wyników na tem polu. W bieżącym roku szkolnym odbędzie się także pierwsza matura. Załączona rycina przedstawia pochód młodzieży ze sztandarem.

Prócz tego zamieszczamy fotografię z Miejskiej szkoły przemysłowej żeńskiej w Krakowie, w której również obchodzono uroczyście rocznicę Konstytucyi Trzeciego Maja. Staraniem grona nauczycielskiego odbył się tam mianowicie poranek, na którym uczenice oddeklamowały w kostyumach fragmenty z „Bitwy Racławickiej“.



Kobieta polska na obczyźnie: Grupa żołnierzy-Polaków z paniami opiekunkami w jednym ze szpitali opawskich. (Do art. na str. 6).

Kronika tygodniowa.

Zanim przejdę do porządku dziennego, raczej tygodniowego, jak sobie już z góry nakreśliłem, muszę oddać głos jednemu z Prenumeratorów, który z okazyi reklamacyi nie otrzymanego w swoim czasie numeru *Nowości illustrowanych*, pisze, co następuje:

„Zarazem proszę poczynić odpowiednie kroki na poczcie w R., ażeby, jeżeli ktoś chce rozcinać i czytać czyjeś gazety, to niechże sobie zaprenumeruje".

Odnośny ustęp listu narzekającego zupełnie słusznie Prenumeratora przytaczam dosłownie, nic nie dodając, ani też nic nie ujmując, skracając jedynie nazwę miejscowości, w tej nadziei, iż podobne nadużycie już się nie powtórzy, nie chciałbym bowiem, by dotyczący urząd pocztowy miał być z tego powodu narażonym na pociągnięcie do odpowiedzialności przez swą władzę przełożoną, jak na to zupełnie słusznie zasługuje. Abonent, płacąc za gazetę, ma prawo żądać, by ją otrzymywał w swoim czasie i w należytym stanie. Administracya naszego pisma czyni wszystko, co w jej mocy, by zadowolnić P. T. Prenumeratorów, niestety żaden tydzień nie obejdzie się bez kilku, a nieraz nawet i kilkunastu reklamacyi. Ale, jak to P. T. Czytelnicy z przytoczonego wyżej wyjątku z reklamacyi widzą, wina nie jest po naszej stronie.

„Inni szatani byli tu czynni..." Tak wyraziłby się z pewnością poeta, kronikarz, choć prozaik, powtarza te słowa, by ogół odbiorców *Nowości illustrowanych* zwrócił swe *odium* tam, gdzie należy. Niechaj to także będzie i przestrogą dla tych, którzy postępują niewłaściwie, gdyż, o ile niniejsza kronikarska wzmianka nie pomoże, z bólem serca bylibyśmy zmuszeni oddać sprawę, jeśliby się powtórzyła, Dyrekcyi poczt, celem urzędowego załatwienia.

Raz już poruszyłem na łamach kronik tę nieprzyjemną sprawę, w rezultacie ściągnąłem na swą niewinną głowę gromy w postaci listu jednej z Pań Pocztmistrzyń, która nawet zagroziła mi skargą sądową, jeśli publicznie nie odwołam tego, co napisałem. Bojąc się kryminału, w którym, kto wie czy nie siedziałbym do dnia dzisiejszego, gdybym tego nie uczynił, spełniłem też jej żądanie, zwłaszcza, że tamtejszy urząd pocztowy powodu do skarg nie dawał, zaznaczyłem przecież wyraźnie, że nie o wszystkich pocztach można to powiedzieć. To samo powtarzam i dziś, gdyż nie wszystkie urzędy pocztowe, bez względu na to, czy one są erarynalne, czy nie, funkcyonują tak, jak powinny.

Być może, że znajdzie się ktoś, kto mnie posądzi o niechęć do tak pożytecznej instytucyi, jaką jest poczta. Gdyby tak było, musiałbym mu powiedzieć, że się myli. Jestem człowiekiem sprawiedliwym, czego najlepszym dowodem, iż mam sen bardzo spokojny i oddaję każdemu, co mu się słusznie należy, ale też ze względu właśnie na to, muszę od czasu do czasu wytknąć tę lub ową niesprawiedliwość, co naturalnie odnośnemu osobnikowi nie może być zbyt przyjemnem. Zdarza się też nieraz, że, w myśl przysłowia „uderz w stół, a nożyce się odezwą", obrażonymi i dotkniętymi czują się akurat ci, których się bynajmniej nie miało na myśli.

Różne niedomagania, z jakiemi spotykamy się w zakresie urzędowania naszych poczt, mogą być zapisane na karb wojny i wywołanych nią stosunków, ale nie można tu podciągnąć zażalenia, że ktoś numer *Nowości illustrowanych* otrzymał porozcinany lub poplamiony.

A teraz przechodzę do porządku dziennego, na którym znajduje się w pierwszej rubryce sprawa wysłania rodziny na letnie mieszkanie, o ile *nota bene* będziemy mieć tego roku jakie lato, na tę nazwę zasługujące. Kronikarz sam, ze względu na swe urzędowe czynności, nie pozwalające mu na utracenie bezpośredniego kontaktu z szerokim światem i głęboką polityką, musi pozostać w Krakowie, odetchnie przecież swobodniej, gdy się pozbędzie bodaj na krótki czas swej lepszej połowy i będzie się mógł zabawić w słomianego wdowca.

W tem jednak sęk, gdzie wysłać rodzinę i jak ją wysłać. Jedni z letników ciągną do większych środowisk, gdzie zbiera się liczniejsze grono amatorów świeżego powietrza, drudzy, pragnący w samej rzeczy spoczynku i wytchnienia, wybierają sobie tak zwane „zakazane dziury", gdzie świat teskami zabity, a pocztę dostaje się raz na tydzień.

W obecnych, wojennych czasach warto się nad tem zastanowić, którzy z nich czynią lepiej. Świeżego powietrza i tu i tam nie braknie, na to się każdy zgodzi, ale przytem trzeba pamiętać, że samo świeże powietrze do życia nie wystarczy. Dziś główną troską każdego „papu", a z niem coraz gorzej i łatwo bardzo stać się może, że ktoś, przyjechawszy na letni pobyt do jakiejś Pipidówki lub Psiej Wólki, może być narażony na przymieranie głodem, zwłaszcza jeżeli przed nim gościła tam pani... rekwizycya.

Słyszałem głosy, że jeśli się ma gdzieś wyjechać na lato, to tylko do Zakopanego lub Krynicy, lub podobnej miejscowości o europejskiej sławie, gdyż tam, ze względu na zachęcenie letników i kuracyuszy, sam rząd postara się o zaprowiantowanie, gdy natomiast w małej dziurze można się narazić na to, że się nic nie dostanie i trzeba będzie z głodu łapę lizać.

Czy tak jest w samej rzeczy?

Mnie się zdaje, że nie, jak to widać choćby ze sprawozdania z posiedzenia właścicieli pensyonatów w Krynicy, którzy ustanowili cenę za samo utrzymanie jednej osoby trzydzieści, a w pełnym sezonie czterdzieści koron, ale dodali równocześnie, że „za aprowizacyę nie ręczą". Wobec tego każdy z letników powinien się na wszelki wypadek, wybierając się tam, zaopatrzyć we wszystko, co uważa za konieczne do utrzymania życia. Oprócz więc zapasów najróżnorodniejszej „spyży" w stanie stałym i płynnym, powinno się zabrać ze sobą bodaj jedną mleczną krowę (naturalnie i paszę dla niej, gdyż ona także samem świeżem powietrzem się nie zadowolni..), kilkanaście nośnych kur i koguta, by się im samym nie przykrzyło. Taki kogut może ponadto zastąpić budzik i barometr. Ze względu na tę ostatnią funkcyę, im będzie starszy tem też będzie odpowiedniejszy, będąc bardziej czułym na wszelkie zmiany aury, które ma swem pianiem obwieścić. To tylko bieda, że taki starszy kogut traci z czasem rachubę czasu i zamiast o świcie pieje już o północy, a trudno go, celem naprawy, posłać do zegarmistrza.

Ale nie o tem miałem pisać, lecz o zapasach, które każdy kuracyusz i letnik, wybierający się do Krynicy, powinien ze sobą zabrać, jeśli nie chce by umarł z głodu. A po taką śmierć nie opłaci się chyba jechać tak daleko, skoro ją można znaleźć i w Krakowie.

Dajmy na to, że ktoś już postarał się o to wszystko i wyjechał z tem szczęśliwie. Rozchodzi się teraz o to, by również szczęśliwie i dojechał na miejsce, łatwo bowiem stać się może, że mu to wszystko w drodze skonfiskują i sprzedadzą po maksymalnych cenach, a stać się to może bardzo łatwo, gdyż na przewóz środków spożywczych trzeba mieć specyalne pozwolenie, a otrzymać je trudno, nie można się nawet dowiedzieć, która władza ma je prawo wydawać.

Ostatecznie przyjmijmy, że się udało szczęśliwie dojechać do miejsca przeznaczenia. I znów nowy kłopot, gdzie to wszystko pomieścić, skoro się ma do dyspozycyi tylko jeden pokój i to na pierwszem piętrze.

Z kłopotu więc włazi się w nowy kłopot. I to gdzie?.. W Krynicy, będącej własnością Wysokiego Rządu, więc chyba mającej, a raczej mogącej mieć pretensyę, by ją oględniej traktowano, niż inne, nie należące do Rządu miejscowości.

W samej rzeczy Urząd żywnościowy, choć wyraźnie powiedziano, że w pierwszym rzędzie ma się postarać o aprowizacyę zdrojowisk i uzdrowisk, o Krynicy zapomniał, a uwzględnił (być może tylko na papierze...) Zakopane.

Jeśli więc Krynica została tak zupełnie pominiętą, cóż dopiero mówić o jakiejśtam Rabce, Rymanowie, Szczawnicy, Iwoniczu i t. d. Tam już każdy oddany jest samemu sobie i skazany na to, by, zamiast używać świeżego powietrza i wypoczywać, łamał sobie nad tem głowę, gdzie się obrócić, by znaleźć coś, co można włożyć w buzię. Im zaś w danej miejscowości więcej osób, tem to staranie się będzie trudniejsze, a ceny, w miarę popytu, pójdą w górę, zwłaszcza, jeśli się tam znajdą nasze panie, tak lubiące podkupywać jedna drugą.

Mojem więc zdaniem, zważywszy to wszystko, co się wyżej powiedziało, powinno się wybrać raczej jaką „zakazaną dziurę", gdzie i powietrze świeższe i swobody więcej i aprowizacya pewniejsza, ale o tyle tylko, o ile tam nie gościła poprzód... pani rekwizycya.

Czyli, innemi mówiąc słowy, i tu źle i tam nie dobrze, wobec czego najlepiej zostać w domu, a świeżego powietrza używać na plantacyach, gdzie można pieścić ucho śpiewem gawronów, lub na Błoniach, przy szmerze fal wonnej Rudawy i rechotaniu żabek, zastępujących tu słowiki.

Mamy zresztą nasz własny ogród miejski, raczej las na Panieńskich Skałach, gdzie można również używać świeżego powietrza na razie bez żadnego ograniczenia, a potem wrócić do miasta i tutaj myśleć o tem, czy w tym tygodniu dostanie się na kartę mączną świeczkę, czy cebulę, czy też może „najprzedniejszą" mąkę kilogram po ośm koron, o której jedna z obywatelek Łobzowa wyraziła się złośliwie, że „chyba nią maścić karmę dla bezrogów, gdyż człowiek to nie wziąłby tego i w usta..."

To były dotąd kłopoty „dokąd jechać", teraz zaś kolej na to „jak jechać".

Kto w ostatnich czasach był w tem miłem położeniu, że musiał odbyć podróż koleją żelazną, wie chyba, z jakiemi to jest połączone przyjemnościami. Wagony zniszczone, okna powybijane, wewnątrz ścisk i chaos nie do opisania, wszystkich bowiem ogarnęła jakaś dziwna gorączka podróżowania. Ludzie się formalnie zabijają, by zdobyć miejsce w przedziale.

Dostanie się więc na miejsce koleją jest ze względów bezpieczeństwa osobistego wykluczonem, odpadają też aeroplany i automobile z powodu braku benzyny, konie zaś ze względu na zupełny brak sił żywotnych. Pozostaje więc podróż piesza, ale i ona nie jest wskazaną choćby tylko z racyi drożyzny butów i niemożności zabrania ze sobą niezbędnych prowiantów. — *Ergo*.. najmądrzej siedzieć w domu, chwalić Pana Boga, jak kto umie i dziękować Mu, że się jest w Krakowie, gdzie, choć za drogie pieniądze, ale dostanie się wszystkiego, czego tylko dusza, a raczej żołądek zapragnie. Na wywczasy letnie będzie dość sposobności po ukończeniu wojny. Wprawdzie własnoręcznie napisałem w poprzedniej kronice, że może ona potrwać lat trzydzieści, ale w to sam nie wierzę, a raczej staram się wmówić w siebie, że wierzyć nie powinienem.

Szkoda mi tylko jednej rzeczy, to jest owej swobody, jaką mógłbym się był cieszyć, jako słomiany wdowiec, ale równocześnie powiadam sobie, że niema złego, aby na dobre nie wyszło (niestety, czasem wychodzi na jeszcze gorsze!... przyp. zecera), bo dyabeł nie śpi, człek gotów palnąć jakie głupstwo, za które musiałby odpowiadać przed tak surowym i bezwzględnym sędzią, jak moja Weronisia, która zwłaszcza na punkcie wierności małżeńskiej jest bardzo czułą, a ma pod tym względem prawdziwie średniowieczne zapatrywania.

Ostatecznie mamy zresztą jeszcze wiosnę, do lata dość daleko, więc projekt można jeszcze bodaj z dziesięć razy zmienić. Może sobie na to pozwolić kronikarz *Nowości illustrowanych*, a naśladować będzie w tym kierunku tylko naszych wielkich polityków, zmieniających ciągle swe oryentacye, niczem elegantka rękawiczki.

Natura ciągnie wilka do lasu, kronikarza do polityki, ale, ponieważ, jak już nieraz poprzednio zaznaczyć miał sposobność, kombinacye polityczne przeważnie go zawodzą, rzuca ten niewdzięczny temat, zwłaszcza, że zostało jeszcze tyle miejsca, iż można coś wspomnieć i o Zielonych Świętach.

A to temat chyba zupełnie majowy.

W okresie imienin trzech starych kawalerów, Pankracego, Serwacego i Bonifacego, gdy mróz dobierał się do nas i zdawało się, że śnieg wisi w powietrzu, zamówił sobie kronikarz na wszelki wypadek sanki, by móc z rodziną wybrać się na Bielany.

Potem zmienił projekt, a sanki na wózek, gdy się ociepliło, ale przecież skończyło się tylko na projekcie, pokazało się bowiem, że w całym Krakowie nie znajdzie się konia, który miałby tyle siły, by uciągnąć parę osób. O wypożyczeniu zaś całej pary ani myśleć, na to może sobie pozwolić chyba milioner, lub dostawca wojenny.

Pozostała więc kronikarska rodzina w Krakowie, duchem tylko przenosząc się na Bielany i przypominając sobie owe radosne chwile, jakie się tam, pod zielonym namiotem drzew, przed wojną spędzało.

Pono i w tym roku podążyło tam sporo wycieczkowiczów i musieli się nawet dobrze bawić, skoro grzmiało w pierwszy dzień świąt, co mimowoli nasunęło człowiekowi na myśl słowa ś. p. Zagłoby: „Panie Boże, Ty widzisz, a nie grzmisz!..."

Jak sam kronikarz Zielone Święta spędził, na to, niestety, brak już miejsca, wobec czego temat ten przechodzi do następnego numeru, gdzie stanowić będzie sam początek. A tu nawet pan metrampaż nie da rady!... Koniec obcinać może, początek jest nietykalny.

Jeden jedyny pan prokurator mógłby tu zabrać głos...

Z tygodnia.

Starcie wojsk polskich na Ukrainie z Niemcami.

„Kuryer Lwowski“ ogłasza następujące doniesienie „Kijowskiej Myśli“ z 14 b. m.:

Wczoraj ogłoszono w Kijowie obwieszczenie o rozpoczętem przez wojska niemieckie rozbrajaniu drugiego korpusu wojsk polskich. W pobliżu Kaniowa przyszło między wojskami polskiemi a niemieckiemi do nieporozumienia, które doprowadziło do starcia. W walce, jaka się następnie wywiązała między obu wojskami, wzięła udział także artylerya.

Przyczyny i przebieg tego starcia — jak donosi „Nowa Reforma“ — tak się przedstawiają:

Koło Kaniowa nad Dnieprem stał już od dłuższego czasu drugi korpus polski, pod generałem Osińskim, któ emu Niemcy wzbronili przeprawy przez Dniepr. Wojska niemieckie przegrodzone były od polskich czterokilometrowym pasem neutralnym; obie strony stały okopane. Między dowództwami toczyły się dłuższy czas rokowania. Niespodziewanie dnia 9 maja b. r. Niemcy postawili dowództwu drugiego korpusu ultimatum, żądające złożenia broni, grożąc w przeciwnym razie użyciem siły zbrojnej. Według zaś innych wieści zażądano też wydania ze składu korpusu wszystkich austryackich poddanych, czy to jeńców, czy też przynależnych do byłego korpusu posiłkowego. Dowódca drugiego korpusu nie zgodził się na żądanie niemieckie, wobec czego doszło do starcia zbrojnego.

Wśród wojsk jen. Muśnickiego.

„Dziennik Kijowski“ zamieszcza następujące informacye z życia armii polskiej jen. Muśnickiego.

Trudności komunikacyjne sprawiają, że korpus polski, rozlokowany w okolicach Bobrujska, jest niemal zupełnie odcięty od nas i tylko od czasu do czasu z listów prywatnych, a czasem z pism, wychodzących w Bobrujsku i Mińsku, można sobie odtwarzać obraz życia żołnierzy polskich.

I tak pod datą 21 kwietnia wyszedł w Bobrujsku organ urzędowy pierwszego korpusu polskiego „Żołnierz Polski“, w którym, zarówno jak i w nadesłanych numerach „Dziennika Mińskiego“ znajdujemy szereg interesujących informacyi.

Między innemi znajdujemy tam następujące dwa rozkazy:

„Rada Regencyjna przez swoich delegatów rozkazała mi podziękować wszystkim należącym do polskiego korpusu za pełną poświęcenia służbę i karność w szeregach w czasie rosyjskiej zawieruchy. Ta zawierucha doprowadziła Rosyę do zguby, a wytrwałość w porządku garstki żołnierzy polskich daje nadzieję na odrodzenie naszej ukochanej Ojczyzny. Rada Regencyjna oświadcza, że dołoży wszelkich starań, by nie zboczyć z drogi, która ma doprowadzić do wskrzeszenia Polski.

Ogłaszając o tem, wzywam was, oficerowie i żołnierze polscy do dalszego poświęcenia, posłuszeństwa i wiary w nasz rząd narodowy. Rozkaz ten przeczytać we wszystkich jednostkach korpusu i ogłosić podczas nabożeństw. (Podp.) Dowódca korpusu generalnego sztabu generał porucznik Dowbór Muśnicki“.

Rozkaz do drugiego korpusu polskiego z 18 kwietnia 1918 r. Twierdza Bobrujsk.

„Dziś otrzymałem telegram od generała Beselera z wiadomością, że Radzie Regencyjnej, to jest rządowi polskiemu, przyznane zostało zgodnie z mojem żądaniem prawo przyjmowania udziału w politycznych decyzyach kwestyi wojskowej. Generał porucznik Dowbór Muśnicki“.

W kronice korpusu czytamy o wyjeździe do kraju 1000 żołnierzy, którzy zwolnieni od służby wojskowej, orać będą zagon ojcowski i brać udział w budowie nowej Polski. Na miejsce ich przybyć muszą młodsi by nabyć doświadczenia bojowego i razem z korpusem stwarzać armię polską.

Nowa pierwsza brygada polska.

Warszawski „Głos“ donosi:

Dzień 1 maja b. r. będzie historyczną datą dla tworzącej się armii polskiej. W tym dniu bowiem odbyła się w Ostrowcu uroczystość odebrania przez dowództwo świeżo utworzonej pierwszej brygady wojska polskiego. Pierwsza brygada polska, która od dnia tego istnieje już formalnie, złożona jest z pierwszego i drugiego pułku piechoty, oraz z kompanii saperów.

Komendantem brygady mianowany został zasłużony pułkownik Minkiewicz, adjutantem zaś jego kapitan Platowski. Komendę pierwszego pułku powierzono majorowi Udalowskiemu; drugim pułkiem dowodzi major Zarzycki. Pułki powyższe sformowane zostały z kursów wyszkolenia piechoty i batalionów rekruckich.

Dnia 1 maja odbyło się w Ostrowcu uroczyste poświęcenie pierwszej brygady polskiej. W obecności całej starszyzny wojska polskiego, oraz oficerów brygady uroczystego aktu poświęcenia dokonał kapelan ks. Wiczniewski.

Przy blasku pięknej pogody wiosennej, na błoniach obok koszar odprawiona została polowa msza św., poczem kap. ks. Wiszniewski przemówił do żołnierzy, podnosząc znaczenie chwili historycznej. Kończąc, nawoływał kapelan żołnierzy do miłości względem Boga, Ojczyzny i przyjaciół.

Nastąpiło odczytanie pierwszego rozkazu brygady, który żołnierze przyjęli okrzykiem na cześć Rady Regencyjnej.

Po skończeniu uroczystości odbyła się defilada przed komendantem pułkownikiem Minkiewiczem

Przed procesem legionistów w Huszt.

Jak czytamy w „Kuryerze Lwowskim“, w Huszt z końcem maja lub w pierwszych dniach czerwca ma się rozpocząć rozprawa sądowa przeciw oskarżonym legionistom polskim.

Dochodzenia wstępne zostały ukończone. Zebrano je we wniosek, który przewodniczący sądu śledczego przedłożył generalnej komendzie VII. armii, celem zatwierdzenia, poczem ów wniosek po większych lub mniejszych modyfikacyach staje się aktem oskarżenia. Rozprawa odbędzie się w Huszt, w sali hotelu „Korona“ i potrwać ma 6 do 8 tygodni.

Oskarżonych jest stukilkunastu oficerów i kilku nastu podoficerów i żołnierzy. Na świadków powołano łącznie około 120 ludzi (w tem kilkunastu oficerów), przebywających w Huszt, Szeklencze i Saldobosz. Sztab generalny komendy polskiego korpusu posiłkowego zatrzymano również w roli świadka.

Obecnie już zwinięto obozy w Dulfalva i Taborfalva.

Największym obozem jest obóz w Taraczköz. Przebywa tam około 300 żołnierzy i 28 oficerów Królewiaków. Oficerowie mieszkają w obozach prywatnych po 3 i 4 w jednym i poza meldowaniem się raz na dzień w komendzie obozu, posiadają względną wolność. Żołnierze w Taraczköz używani są do rożnych robót, za co otrzymują dzienne wynagrodzenie w kwocie 3 koron. Dziennie wyznacza komenda obozu około 150 żołnierzy do pracy. Kapitał pracą zarobiony wpływa przeważnie do kasy prowiantowej i służy na polepszenie wiktu. Kuchnię prowadzi się we własnym zarządzie.

„Ukraiński“ Kijów w świetle statystyki szkolnej.

Jak donosi „Kijewskaja Myśl“, w Kijowie urządzono ankietę wśród uczniów wyższych klas gimnazyalnych (począwszy od 5), aby się dowiedzieć o stosunku narodowości w szkołach średnich. Na 3419 uczniów, 2385 oświadczyło, że są Rosyanami (69 8 procent), 429 uczniów, że są żydami (12 5 procent), 259 Ukraińcami (7 6 procent) 186 Polakami (5 4 procent), a 160 uczniów przyznało się do innych narodowości. Na pytanie co do obowiązkowego zaprowadzenia nauki przedmiotów tyczących się Ukrainy 2908 uczniów (81·1 procent) oświadczyło się przeciwko takim wykładom; 294 (8 6 procent) powstrzymało się od odpowiedzi, a tylko 217 uczniów (6 3 procent) oświadczyło się za wprowadzeniem tych wykładów.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.